Gromowładny Wrocławski, dociekliwa Lisiecka

Pan Bóg jest w potężnej depresji i zgłasza się na seans terapeutyczny do pani psycholog, oczywiście na Ziemi. Ona zaś, choć pozbawiona łaski wiary, jak prawdziwy zawodowiec dociera do jego, za przeproszeniem, wnętrza duchowego. No i oboje odnoszą sukces. Sorry, taki klimat.
Tyle, w największym skrócie, o polskiej prapremierze sztuki izraelskiej pisarki Anat Gov pt. „Boże mój!" (Teatr im. Jaracza, 29 III). Licentia poetica, jak wiadomo, dozwala na stosowanie najróżniejszych zabiegów, byle tylko widz nie trzasnął fotelem. Oryginalny pomysł fabularny trzeba jednak obudować materią sceniczną, nadać mu jakiś wymiar. I przede wszystkim skonstruować, za przeproszeniem, pełnokrwiste postacie. Bo fakt, iż to terapeutka ma sen (marzenie, wizję) o nadzwyczajnym spotkaniu, co się materializuje w dwuosobowym scenicznym dialogu, wcale nie zwolnił autorki sztuki z troski o konkrety. Główna relacja – psychologiczna – jest w jakimś stopniu prawdziwa, bo bohaterka ma poważne kłopoty sama z sobą i umie je przekładać na medyczne kody. Ale i znajdującemu się w desperacji dobremu Panu Bogu trzeba było nadać pewną, sorry, cielesność. Tu przybiera postać (w roli gangstera) jednego z ulubionych aktorów chorego syna terapeutki!
W gruncie rzeczy cały tekst składa się z cudzysłowów. Jest bowiem subiektywnym zapisem duchowości, za przeproszeniem, Pana Boga i swoistego sposobu odczytywania dziejów świata, które proponuje lekarka. Od metafizyki poczynając, na konkretach zapisanych w Biblii i różnorakich magicznych odniesieniach kończąc. Nie wszystko w sztuce jest wysokiej literackiej próby, ale czapki z głowy, gdy chodzi o wiedzę religioznawczą autorki. I umiejętność snucia subtelnej, nie obrażającej niczyich uczuć opowieści o Najwyższym Autorytecie własnymi słowami – z pełnym uszanowaniem.
Ten półtoragodzinny trudny dialog stawia zadania aktorskie wysokich lotów. I wymaga takiego poprowadzenia aktorów, by nie przekroczyli granicy kiczu lub nieprawdopodobieństwa. Cały czas balansują pomiędzy umownością i realnością zachowań, starając się przy tym nie popaść w czułostkowość. Role są interesująco zróżnicowane: zmagania intelektu z emocją Mileny Lisieckiej i Bronisława Wrocławskiego przypominają, iż teatr stoi aktorstwem a nie tworzoną doraźnie literaturą. Może tylko odrobinę szkoda, że reżyser Jacek Orłowski (scenografia: Izabela Stronias, światło: Szymon Lenkowski, aktor „w tle": Marcin Łuczak) nie zdecydował się, czy ma być to dramat podszyty ironią, czysta komedia czy szlachetna przypowieść o dobrym Panu Bogu, bo bez wiary trudniej żyć. Pewnie byłoby, sorry, jeszcze ciekawiej…

„Boże mój", Teatr im. Jaracza. Premiera 29 III.